

## ROZDZIAŁ VII

Jadąc na Psie Pole, zastanawiał się, z jakich powodów prokurator Basiura chce z nim rozmawiać. Znali się od wielu lat z uwagi na sprawy kryminalne, jakie prowadził w przeszłości i darzył go sympatią za jego profesjonalizm, rzeczowość i życzliwość z jaką podchodził do współpracy z policjantami. Nigdy nie zdarzyło się, aby na tej linii dochodziło do jakichkolwiek zgrzytów, a wszelkie wnioski, jakie do Basiury zgłaszali, były zazwyczaj przyjmowane i kierowane bez zbędnych ceregieli do realizacji. Na temat zabójstwa antykwariusza, którego nazwisko nawet nie utrzymało się w jego pamięci, nigdy z Basiurą nie rozmawiał i to zaproszenie w tej właśnie sprawie, budziło jego i zdziwienie i zaciekawienie zarazem. Oczywiście okłamał Meryla, że o sprawie zabójstwa w antykwariacie nic nie wie, ponieważ zarówno on sam, jak i jego koledzy byli praktycznie na bieżąco informowani przez niektórych zaprzyjaźnionych policjantów z wydziału Żeleznika, co się przy sprawie robiło. Często zdarzało się i tak, że składane im relacje wywoływały ich zdziwienie i zaskoczenie. Szczególnie poruszające ich wyobraźnię były opowieści wskazujące, że w tej sprawie mogło dochodzić do, jak to żargonowo określali, drukowania dowodów, czyli ich sztucznego tworzenia. Pamiętał dobrze opowieść o tym, jak dokonywano okazywania fotografii osób wytypowanych jako sprawcy, co polegało to na tym, że okazujący świadkowi zdjęcie czynił to w ten sposób, iż mówił mu niby tak mimochodem, że jest to taki, a taki, który dokonał zabójstwa, pytając się jednocześnie, czy świadek go rozpoznaje. No i rozpoznanie w większości przypadków okazywało się pozytywne.

On sam, w czasie kiedy dokonano zabójstwa, pracował w CBS w jednym z wydziałów Komendy Głównej i wtedy właśnie otrzymał kilka informacji w sprawie jego sprawców. Nie miał raczej wątpliwości, że mogą mieć zasadnicze znaczenie dla prowadzonego śledztwa. Jedna pochodziła od jego „starego” agenta o pseudonimie „Bond”, z którym współpracował przed 1999 rokiem, a więc w czasach poprzedniej struktury organizacyjnej Policji. Natomiast drugą uzyskał od Bazylii, która powtórzyła mu rozmowę z pewnym, jak go nazwała, gnojkiem, z którym popalając trawkę, dała mu się parę razy za złapać biust. Twierdziła, że zastosowała taką taktykę, aby chłopakowi bardziej usta otworzyć, kiedy się zorientowała, że opowiada coś o zabójstwie właściciela antykwariatu. Obie informacje były według niego bardzo istotne i nie wątpił w ich prawdziwość. Przekazał je do wydziału kryminalnego KMP, ale nie drogą oficjalną, lecz prywatnie, wręczając swoje notatki bezpośrednio Żeleznikowi i Palce. Uczynił tak, by uniknąć zbędnej biurokracji, która wydłużyłaby drogę jego notatek do adresatów, a jemu zależało na tym, aby informacje te zostały poddane natychmiastowej weryfikacji.

Pierwszą z nich, w której była mowa o przekazaniu antykwariuszowi fantów pochodzących z włamania w Opolu, przekazał Żeleznikowi, natomiast tę drugą, wskazującą kto dokonał napadu, dał Palce wierząc, iż będzie wiedział, jak ją dalej wykorzystać bez potrzeby rozmowy z informatorem, ponieważ w notatkach nie ujawnił od kogo informacje pochodziły.

Był przekonany, że nadano im właściwy bieg i bardzo dziwiło go to, że sprawa się tak bardzo ślimaczy, ale nie starał się ingerować, aby nie narazić się na jakieś zarzuty, że się wtrąca w bieg prowadzonych działań operacyjnych. Po informa-

cji, iż Basiura prosi go o spotkanie, postanowił, że jutro bliżej zainteresuje się ich losem, bo przez skórę czuł, że chyba ich odpowiednio nie wykorzystano, na co wskazywała w pewnym stopniu uwaga Meryla, że chodzi o ustalenie wyłączonego ze śledztwa wątku. Przypuszczał, że być może chodzi o te jego informacje, które przekazał do komendy miejskiej. Coś mu podpowiadało, że Basiura będzie chciał przekazać mu prowadzenie właśnie wątku, który mógł wynikać z jego informacji. Postanowił, że dziś sobie nie będzie sobie tym głowy zawracał, ale jutro, przed wyjazdem do Świdnicy, odwiedzi Walka, aby sprawdzić, co oni z tymi informacjami uczynili.

Po zaparkowaniu „poldka” na terenie bazy i zamknięciu w szafach broni osobistej, Rylecki zatelefonował do zaprzyjaźnionego z nimi ajenta restauracji w klubie NOT, aby zamówić jeden stolik do ich dyspozycji.

- Słuchajcie – odezwał się do kolegów trzymając słuchawkę przy uchu – Zbyszek mówi, że tam teraz trwa jakieś zebranie inżynierów z NOT, ale za jakieś półtora godziny powinna się zakończyć. Co robimy?

- Jak to, co? - pytaniem odpowiedział Walewski

- Wiadomo, jedziemy – dokończył Drożdż – zagramy w bilarda, a później się zobaczy.

Rylecki szybko uzgodnił z rozmówcą, że ten zabezpieczy, by stół bilardowy był dla nich dostępny zaraz po przyjeździe i po uzyskaniu gwarancji, że tak będzie, opuścili pomieszczenia służbowe. Takie „zabezpieczenie” było konieczne, bo o tej porze lokal był już zwykle zapchany stałymi bywalcami i osobami, które zaglądały tu raczej przypadkowo, ale zawsze pozostawały na dłużej. Z reguły do zamknięcia lokalu, czyli do ostatniego klienta.

Po niespiesznie udali się do klubu, idąc przez park Sobieskiego, skąd z Nowego Miasta na Schmidta była najbliżej. Po drodze, zatrzymali się w kultowej niegdyś „Harcówce”, usadowionej na zboczu Parkowej Góry, aby na tarasie widokowym wypić po jednym chłodnym piwie i zapalić spokojnie papierosa. Kiedy uznali, że już czas zeszli w dół, by po dotarciu na Schmidta od razu wyjście na dziedziniec Klubu NOT. Po ilości zaparkowanych samochodów zorientowali się, że w lokalu będzie, jak zwykle o tej porze, sporo ludzi. Od wielu lat, jeszcze w czasach funkcjonowania starego wydziału zrodził się zwyczaj, że po każdej ważniejszej sprawie jechali do tego klubu, który traktowali, jako stałe miejsce pozasłużbowych spotkań grupy wałbrzyskich policjantów. Było to miejsce, gdzie mogli odreagować wszystkie narosłe w ciągu dnia stresy, gdzie oddawali się z zapamiętaniem grze w bilarda i spożywaniu piwa, a niekiedy i mocniejszych trunków. Oni spotykali się zwykle w tym samym gronie, jako grupa kilku najbardziej zaprzyjaźnionych ze sobą facetów, wiedzących o sobie prawie wszystko i lubiących przebywać w swoim towarzystwie. Niekiedy, raczej na zasadzie przypadku, dołączali do nich inni pracownicy wydziału, lub dalsi znajomi z komendy, ale zawsze było to wyłącznie męskie towarzystwo, zajmujące się grą w bilarda i alkoholem. Zdarzało się też, może trzy lub cztery razy, że do zabawy dołączył się Maniek Rusiński, jednakże jego uczestnictwo ograniczało się jedynie do gry w bilarda, ponieważ unikał nadmiernego spoufalania z podwładnymi, czym niechybnie skończyłoby się wspólne wypicie większej ilości piwa lub wódeczki. Drożdż był przeko-

nany, że Rusiński, z którym łączyły go koleżeńskie więzy, obawiał się, że niektórzy uczestnicy tych spotkań mogliby dokonać ich niewłaściwej oceny, co mogłoby spowodować trudności z rozróżnieniem stosunków służbowych i prywatnych, a tym samym narazić na szwank główny atrybut przełożonego, to jest odpowiedni dystans służbowy. Drugim powodem braku większej zażyłości w stosunkach z podwładnymi była, skrywana dosyć niezręcznie zresztą, jego niechęć do wydawania własnych pieniędzy, a w sytuacji daleko posuniętej fraternizacji, zmuszony byłby do częstego otwierania portfela, czego potwornie nie lubił czynić.

Jednakże najbardziej chyba istotnym i jedynie prawdziwym powodem unikania koleżeńskich spotkań w klubie, była jego żona, której gniewu bał się jak ognia, chociaż przed znajomymi i kolegami nigdy po sobie nie dał tego poznać. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że ten jego strach przed żoną miał też dla niego zbawienny charakter, ponieważ stanowił barierę przed spożywaniem większej ilości alkoholu, zwłaszcza podczas częstych spotkań towarzyskich, organizowanych na terenie komendy przez ówczesnego komendanta wojewódzkiego Zygmunta Komarowskiego. Odbywały się zawsze w gabinecie zaufanego naczelnika pionu techniki operacyjnej, Stanisława Pliszki, zwanego Plichą. W biesiadach tych, zwanych przez Drożdża towarzyskimi odprawami służbowymi, uczestniczyli najbardziej zaufani naczelnicy wydziałów, bądź ich zastępcy. Drożdż, z powodu częstych i nagłych wyjazdów w teren, nie zawsze mógł być ich uczestnikiem, ale i tak szybko rozgryzł istniejący układ i jego nieoficjalną hierarchię, panującą w tym towarzystwie. Bardzo dobre kontakty osobiste z Pliszką pozwoliły mu równie szybko zorientować się, że finansowanie tych spotkań oparte było w swej istotnej części na funduszu operacyjnym wydziału kierowanego przez Pliszkę. Jego specyfika pozwalała na stosunkowo prosty sposób rozpisywania wydatków operacyjnych poniesionych przez zaufanych podwładnych naczelnika. Raporty z tych wydatków, każdorazowo zatwierdzane przez Pliszkę, zbiorczo kierowano do akceptacji przez komendanta Komarowskiego, który prawdopodobnie orientował się, iż niektóre z nich mogły być lekko podkolorowane. Jako stary gliniarz wiedział doskonale, że w działaniach operacyjnych nie wszystko może mieć faktyczne udokumentowanie i niejednokrotnie policjanci musieli te dokumenty odrobinę retuszować, aby wydane pieniądze oficjalnie rozliczyć. Ponadto miał tę wadę, że awansowanym przez siebie na kierownicze stanowiska osobom, po prostu ufał. Prawdopodobnie przez myśl mu nawet nie przeszło, że alkohol pity w czasie tych spotkań kupowany był za pieniądze, którymi on, jako komendant, zarządzał i za wydawanie których był odpowiedzialny. Raczej był przekonany, że zakupu dokonywano z tak zwanych zrzutek do kapelusza, organizowanych ad hoc przed imprezą.

Komarowski znany był z niespotykanej odporności na działanie alkoholu i gdy pijący z nim podwładni stawali się bardzo otwarci i wręcz wylewni, on zachowywał umiejętność jasnej oceny sytuacji. Ta niezwykle odporność pozwalała mu na stałą kontrolę tego, co kto i o kim mówi, jak się zachowuje, ale przede wszystkim dawało mu możliwość oceny indywidualnych zachowań podwładnych, zwłaszcza ich stosunku do powierzonych im zadań, jak również oceny wzajemnych korelacji pomiędzy panami naczelnikami, którzy nie zawsze pałali do siebie sympatią.

Wypity alkohol powodował, że niektórzy tracili zdolność samokontroli i wszelkie wzajemne pretensje i animozje stawały się do Komarowskiego bardziej czytelne niż to, czego dowiadywał się z oficjalnych źródeł. Drożdż szybko zorientował się, że Komarowski wykorzystuje to do sprawnego i bezkonfliktowego kierowania podporządkowaną mu załogą, bez konieczności uciekania się do jakichś apodyktycznych metod, co z drugiej strony było podstawą powszechnej opinii, że jest on fajnym gościem. Opinia ta powodowała, że był lubiany i szanowany przez wszystkich podległych mu w województwie policjantów.

Wykorzystując swój zmysł obserwacji Komarowski szybko dostrzegł, że Rusiński w czasie tych imprez raczej markował, niż pił faktycznie, co również i jemu pozwalało osiąść tę samą wiedzę o ciemniejszych stronach charakteru poszczególnych kolegów. Doszedł więc do jedyne go słusznego wniosku, że taki człowiek najbardziej przyda mu się w trzymaniu w garści całego tego interesu i gdy tylko zwolniło się miejsce zastępcy komendanta, od razu skutecznie wskazał go, jako kandydata do wakującego stanowiska, ku wielkiemu zadowoleniu Drożdża i rozczarowaniu kilku uczestników towarzyskich narad służbowych. Po likwidacji komendy wojewódzkiej w Wałbrzychu, Rusiński został zastępcą komendanta wojewódzkiego we Wrocławiu i to on właśnie ściągnął Drożdża z CBS z powrotem do wydziału kryminalnego, chcąc aby dokończył prowadzone kiedyś rozpracowanie w sprawie zabójstwa dwójki studentów w Górach Stołowych. Po zmianie administracyjnej kraju, rozpracowanie to trafiło do Wrocławia, gdzie przez dwa lata przeleżało w jednej z szaf wydziału kryminalnego.

Idąc do NOT-u myślał z pewnym żalem o tym, że nie ma już w nim żadnego oparcia, ponieważ na kilka miesięcy przed zabójstwem Marioli, przeniesiono go na stanowisko komendanta wojewódzkiego w Poznaniu. Od tego momentu dosyć mocna pozycja Drożdża uległa istotnemu osłabieniu i musiał się pogodzić z tym, że zmuszony będzie realizować pomysły i polecenia ludzi, których nie darzył specjalnym zaufaniem, zwłaszcza co do ich fachowości i rzetelności.

Za czasów Rusińskiego, który mu całkowicie ufał i aprobował wszelkie posunięcia, miał całkowicie wolną rękę w tym, co robił lub planował robić. Zaufanie to było wynikiem ich kilkuletniej współpracy w kierowaniu wydziałem, podczas której Rusiński niejednokrotnie przekonał się, co do wartości policyjnego nosa Drożdża. Po jego odejściu do Poznania wszystko uległo zmianie, a osoby niechętnie dotychczasowej pozycji Drożdża, przy każdej nadarzającej się okazji, starły się uświadomić mu, że minęły czasy, kiedy mógł wpływać na treść podejmowanych w terenie decyzji, lub narzucać swoje rozwiązania. Postępował tak ponieważ przez wszystkie przepracowane w policji lata, zajmował się jedynie najcięższymi przestępstwami kryminalnymi i wielość przeprowadzonych lub nadzorowanych spraw, dawała mu pewność siebie i odwagę w podejmowaniu niejednokrotnie kontrowersyjnych decyzji, skutkujących jednak zazwyczaj pozytywnymi efektami. Zdawał sobie sprawę, że wielokrotnie balansował na granicy ryzyka i w przypadku jakiegokolwiek niepowodzenia, jego los mógłby wyglądać bardzo marnie. Miał chyba jednak sporo szczęścia, opartego na wierze w to, co robi, bo nie zdarzyło się, aby ktoś próbował podważyć skuteczność jego działania, czy trafność podejmowanych decyzji. To właśnie ta skuteczność i umiejętność szcze-

głowej analizie każdej zaistniałej sytuacji, łatwość wyciągania prawidłowych wniosków z zaobserwowanych zdarzeń i szczególny dar zapamiętywania nawet najmniejszych szczegółów, powodowała, że już po kilku latach pracy w wydziale, powierzono mu funkcję kierownika jednej z najważniejszych sekcji, czyli sekcji zabójstw. Docenił to również Rusiński, który po mianowaniu go naczelnikiem wydziału kryminalnego, wysunął jego kandydaturę na swojego zastępcę i bardzo szybko obarczył go całością spraw operacyjnych, sam ograniczając się do zagadnień związanych z administrowaniem wydziału. Później, po jego odejściu z wrocławskiej komendy wojewódzkiej, Drożdż odczuł wyraźnie, że wielu z dotychczasowych kolegów zaczęło mu, różnymi sposobami i przy różnych okolicznościach pokazywać, że jego czas już się zakończył, że teraz zaczynają się rządy nowych, do których on już dostępu nie ma. W atmosferze tej czuł się coraz gorzej, ale z przekory i wrodzonego uporu, podjął rzucone mu wezwanie, wierząc, że tylko osiągnięte efekty będą świadczyć o jego dalszej wartości i odzyskania utraconej pozycji.

Po wejściu do lokalu od razu zauważyli, że w klubie faktycznie panuje straszny tłok, a w powietrzu było gęsto od papierosowego dymu. Panujący gwar, wzmocniony głośną muzyką dobiegającą z kilku kolumn rozmieszczonych na sali, głużył wypowiedane słowa i zmuszał do ich wykrzykiwania, co z kolei w istotny sposób zwiększało poziom nieznośnego hałasu.

Dosyć szybko i sprawnie dopchali się do szerokiego kontuaru, za którym jak zwykle królował zaprzyjaźniony z nimi Zbyszek Kochman, właściciel lokalu pełniący jednocześnie funkcje barmana i kelnera, a w razie potrzeby bramkarza, sprawnie wyrzucającego, co bardziej nachalnych i niekulturalnie zachowujących się gości. Był to niezbyt wysoki i lekko łysawy, tryskający wiecznym humorem mężczyzna, który charakteryzował się bardzo sympatyczną i korzystną szczególnie dla nich cechą, polegającą na tym, że bez żadnego problemu, w sytuacjach dla nich podbramkowych, godził się na prolongowanie kosztów ponoszonych w lokalu. To zaufanie, jakim ich obdarzał nigdy nie zostało przez nich poddane próbie i wszelkie należności regulowane były skrupulatnie w ustalonych wspólnie terminach. Zresztą i wysokość tych zadłużeń nie przekraczała z reguły kilkudziesięciu złotych.

- Witam zacnych gości – zawołał jowialnie na ich widok, wyciągając dłoń do powitania, – co wam podać? To, co zawsze, czy może coś innego? – zapytał z widocznym zadowoleniem na twarzy.

Szybko uzgodnili, że jednak obiecaną przez Drożdża „Siwuchę” wypiją w innym terminie, bo zadania dnia następnego i przewidziane spotkanie z prokuratorem, jednak nie było okolicznością sprzyjającą do spożywania zdecydowanie mocniejszych alkoholi.

- Co się pytasz. To, co zawsze, a potem może jeszcze coś zamówimy – zaordynował Rylecki.

Po kilku minutach cała trójka stała już przy bilardowym stole, a na znajdującym się z boku stoliku dla grających, znalazła się bateria piw i butelka półwytrawnego czerwonego wina, którą jak zawsze zajął się Rylecki. Jego towarzysze preferowali piwo „Żywiec”, a wypełnione nim pokale stały rozdzielone butelką

wina tak, aby nikt nie miał wątpliwości, z którego „szkła” ma korzystać. Po zwięzłym ustaleniu kolejności grających i przypomnieniu obowiązujących zasad, rozpoczęli grę prowadząc leniwie rozmowy na całkiem luźne tematy, dotyczące z reguły spraw niezwiązanych z ich codzienną pracą.

Grali tak przez godzinę i jak zwykle okazało się, że walkę o palmę zwycięstwa rozegrać muszą Rylecki z Walewskim, ponieważ zaszczytne trzecie miejsce przypadło tradycyjnie Drożdżowi.

Ponieważ podczas ich rozgrywki lokal znacznie opustoszał, przenieśli się do zarezerwowanego dla nich stolika w rogu sali, skąd mieli doskonale pole obserwacji, w tym widok na bar i pracującego za nim Zbyszka. Delektując się jak zawsze chłodnym browarem, rozmawiali jak zwykle przy takich okazjach, na tematy wiążące się ze wszystkim, co dotyczyło pracy i ich środowiska. W pewnym momencie Drożdż powrócił do rozmowy z Merylem i zaczął głośno zastanawiać się nad powodem wezwania go do prokuratury.

- No właśnie, czego on może od ciebie chcieć? Jeszcze walczą sprawę babci? odezwał się Rylecki nawiązując do niedawno zakończonej przez nich sprawy zabójstwa samotnej starszej kobiety mieszkającej we wsi Świerki nieopodal Nowej Rudy. Sprawę tą, przez kilka tygodni, prowadzili wspólnie z policjantami z wydziału kryminalnego z Kłodzka, w czasie których udało się im ustalić i zatrzymać wszystkich sprawców, pochodzących z niedużego miasta na terenie Dolnego Śląska. W skład zlikwidowanej grupy przestępczej wchodziły osoby narodowości polskiej i cygańskiej, którym udowodnili, niejako przy okazji, napady rabunkowe na terenie wielu miast w Polsce.

Po jej zakończeniu mieli później wielkie pretensję do Meryla, który nie zastosował obowiązującej w wydziale zasady, że w takich przypadkach występował do komendanta o premię dla tych, którzy daną sprawę rozwikłali. A w tym akurat przypadku rozwikłali ją sami, przy pomocy jednego policjanta z wydziału kryminalnego w Świdnicy, który uzyskał jedną, ale najważniejszą informację dającą im możliwość rozwiązania tej kolejnej kryminalnej zagadki. Ich żal był tym większy, że nie był to pierwszy taki przypadek. Zauważyli, że gdy jakiegokolwiek działania zakończone sukcesem, były prowadzone jedynie ich własnymi siłami, to Meryl nigdy z wnioskiem premiovym nie występował. Jeżeli jakieś premie otrzymywali, to z reguły na wniosek komendantów powiatowych, którzy przy okazji nagradzania swoich podwładnych, niejako z przymusu, musieli odnieść się do ich, często bardzo istotnego, wkładu. Z tych też powodów czuli się trochę niedowartościowani i lekceważeni, zwłaszcza, że ich koledzy z wydziału, pracujący bezpośrednio w komendzie wojewódzkiej, nagradzani byli, nawet za bardzo banalne sukcesy i to kwotami o wiele bardziej konkretnymi, niż w ich przypadku. Drożdż niejednokrotnie podczas ich wspólnych rozmów, jakie na ten temat prowadzili, twierdził, że ten despekt jest efektem pewnych zaszczości z czasów, gdy był naczelnikiem wydziału. Chodziło mu konkretnie o to, że Meryl, mimo wszystko, odczuwał przed nim wyraźny respekt, którego się chyba sam przed sobą wstydił i lekceważeniem ich osiągnięć rekompensował sobie to przykre dla niego uczucie. Respekt ten był prawdopodobnie efektem ich wzajemnych spotkań w czasach gdy Drożdż, jako naczelnik wydziału komendy wojewódzkiej

w Wałbrzychu miał z nim kontakt, podczas gdy on był jednym z drugorzędnych funkcjonariuszy wydziału kryminalnego KWP we Wrocławiu i w jednej ze wspólnie prowadzonej akcji zdarzyło się Meryłowi okazać się sporą nieudolnością. Zdarzenie to tkwiło jak drzazga w jego pamięci i wywoływało przy każdym spotkaniu z Drożdżem przykre wspomnienia, rekompensowane niechęcią i lekceważeniem, nieudolnie skrywanym pozą protekcjonalności, która Drożdża nieodmiennie wprowadzała w stan denerwującej irytacji.

- Nie, tam już prokuratura wniosła akt oskarżenia – poinformował ich Walewski który miał najświeższe wiadomości, co w sprawie zabójstwa babci, jak nazywali między sobą ofiarę zbrodni, aktualnie się dzieje.

- Masz rację. On chce ze mną rozmawiać w sprawie zabójstwa tego właściciela komisju, zapomniałem jego nazwiska. To było chyba dwa lata temu, tak, dwa lata, bo w tedy byłem w CBS. Mówiłem już o tym przecież

- Wiśniewski – odpowiedział mu Walewski.

- Co, Wiśniewski – nie załapał w pierwszej chwili, ale się szybko zreflektował - No właśnie, Wiśniewski. Ale nie mam pojęcia, o czym mógłbym z Basiura rozmawiać, bo przecież sprawy w ogóle nie znam.

- Chłopie, tam się cyrki działy. Nie pamiętasz, co nam chłopaki opowiadali – Walewski starał się przypomnieć mu zdarzenia sprzed kilkunastu miesięcy.

Wtedy, jakieś trzy miesiące po zabójstwie, gdy Rusiński reaktywował ich grupę operacyjną, czym wywołał sporę zainteresowanie policjantów z komendy miejskiej, ich siedzibę w budynku komisariatu na Pism Polu, zaczęli dosyć często odwiedzać bardziej z nimi zaprzyjaźnieni policjanci z wydziału kryminalnego. Dzieli temu mieli dosyć dobrą wiedzę o tym, co się w komendzie na ulicy Mazowieckiej działo. No i nie bez znaczenia było również i to, że sekretarką tego wydziału była Irena Dzielna, która za czasów komendy wojewódzkiej była sekretarką w wydziale Drożdża.

- Przecież oni do nas przychodzili i gadali. Oni tam, w miejskiej, chyba wydrukowali sprawców, bo pamiętam co jeszcze niedawno mówił Prosty – przyszedł mu w sukurs Rylecki, przypominając wizytę jednego z podwładnych Żeleznika, który aktualnie współpracował z nimi przy sprawie handlarzy narkotyków. Wspomniany funkcjonariusz faktycznie opowiedział im, jak zatrzymali sprawców zabójstwa i do jakich przekrętów – jak się wyraził – dopuszczono się, aby im zarzuty postawić.

- Ta sprawa chyba opiera się tylko na zeznaniu jedyne go świadka i nie ma żadnych dowodów. W wydziale większość ludzi jest przekonana, że ci faceci są niewinni i nie mają z tym nic wspólnego. Tam mogą być niezłe jaja. – uzupełnił Walewski.

- Zdaje się, że oni tą sprawę wymęczyli, bo takie było życzenie Maja – wtrącił Rylecki – Pamiętam, jak Walek opowiadał, że ich strasznie gnoi za brak wyników, bo nie może pochwalić się sukcesem przed miejscową prasą.

- On chciałby mieć ten swój wielki sukces jak najszybciej i to osiągnięty wyłącznie własnymi siłami – ironiczny ton głosu Ryleckiego wskazywał, że nie miał on żadnych wątpliwości, co do wiarygodności końcowego efektu pracy podwładnych Maja.

- No dobra, ale co my możemy mieć z tym coś wspólnego. Przecież sprawa chyba jest już na wokandzie? – Drożdź dalej nie mógł zrozumieć, czego od niego w tej sprawie może chcieć prokurator okręgowy.

- Chyba, że chodzi o jakieś szczególne zadanie dla nas, bo Meryl wspominał coś o jakimś wyłączonym wątku, którym miałbym się zająć. – przypomniał sobie słowa naczelnika – Ale my przecież nie mamy żadnej wiedzy na jego temat.

- A co się teraz będziesz tym przejmował – Walewski wyraźnie nie rozumiał rozterek kolegi.

-Bogdan ma rację. Nie musisz się teraz tym tak przejmować – Rylecki powoli sączył resztki czerwonego wina, jakie pozostało w kieliszku – Prawdopodobnie będą chcieli ciebie przesłuchać, bo jak sam mówiłeś, jakieś informacje kiedyś na ten temat pisałeś do miejskiej. Dobrze pamiętam?

- No, fakt. Kiedyś im pisałem informację, ale chodziło o to, że sprawcy mogą się wywodzić z Opoła, a raczej mogą być tymi, którzy wywalili tam numer jakiegoś numizmatykowi. Ale nic chyba z tego nie wyszło, bo nikt się później w tej sprawie do mnie nie zgłaszał.

- Z Opoła? Mówiłeś jeszcze niedawno o jakichś naszych pajacach – odezwał się zdziwiony Walewski.

- No tak, z mówiłem, ale oni mogli działać na zlecenie tych z Opoła. Tamci dali im do spylenia jakieś fanty. Monety srebrne, takie numizmaty o wielkiej wartości – Drożdź mówił wolno, jakby chciał sobie przypomnieć treść informacji przekazywanej grupie śledczej prawie dwa lata temu.

- A co wspólnego z tym mógł mieć ten Wiśniewski?- Walewski dopytywał dalej rozglądając się jednocześnie po sali. – Kurde, lasek prawie wcale nie ma – zauważył nagle jakby z żalem.

- Ten Wiśniewski to był niezły numerant. Kiedyś mi „Dziadek” opowiadał, jak to jeszcze w latach 70-tych dwaj złodzieje spuścili mu fanty z włamska, a jak przyszli po kasę, to kazał im spierdalać, albo iść na skargę na milicję.

Drożdź przypomniał jedną z dawnych opowieści Dziadka, który z Wiśniewskim znał się osobiście.

- No to poszli, przyznali się do wszystkiego, a później „Dziadek” z ekipą cały dzień wywraçał facetowi antykwariat i mieszkanie do góry nogami. Ale nic nie znaleźli. To był lepszy gość, przez lata paserkę walił i nikt mu nic nie udowodnił.

- To co, myślisz, że i teraz tak mogło być? – zainteresował się Rylecki.

- A co tam u „Dziadka” słyhać, jakoś do nas dawno nie zaglądał. Jak będziesz go widział to pozdrów go od nas - przerwał im Walewski.

- Nie wiem, sprawy nie znam, ale wiesz, że wszystko jest możliwe. A u Dziadka byłem parę dni temu. Nic nie robi, siedzi w domu i narzeka, zresztą jak wszyscy – Drożdź z widocznym ociąganiem sięgnął po papierosa i po jego przypaleniu zaciągnął się głęboko – mówił mi nawet, że się do nas wybierał, ale zawsze coś mu staje na przeszkodzie.

- No, on na tej emeryturze to się chyba nudzi jak mops – Rylecki z przekonaniem pokiwał głową – zresztą nas też to czeka niedługo. Ale ja to się nudzić na pewno nie będę. Kończę moją altanę, kupuje stół do bilarda i czekam na was panowie.



- Mnie do tego grona nie zaliczajcie – uśmiechnął się z lekko skrywaną satysfakcją Walewski, dając im do zrozumienia, że różnica wieku gwarantuje mu jeszcze wiele lat pracy.

- Ja mam jeszcze czas, szanowni starcy, - Ale na bilardzika i piwko na pewno zawsze wpadnę. Oczywiście, jak mi obowiązki pozwolą – dodał ze śmiechem.

- Zyga, mówił mi rano Bogdan - Rylecki wskazał głową na kolegę - że Meryl ka-  
zał ci zamknąć tę sprawę studentów? To prawda?

Rylecki pytaniem tym wrócił do sprawy zabójstwa pary studentów, jakie miało miejsce kilka lat temu na terenie Parku Narodowego Góry Stołowe niedaleko Kudowy, którą zajmowali się od czasu powołania przez Rusińskiego ich zespołu. Zresztą zajmowali się nią jeszcze w czasach starego wydziału, bo do powołanej wówczas grupy operacyjnej Drożdż włączył ich od samego początku. Studenci zostali zastrzeleni w kompleksie leśnym w okolicy małej turystycznej wioski Karlów, znajdującej się niedaleko wejścia na teren skalnego kompleksu Szczeliniac w Błędnym Skalach. Tego podwójnego zabójstwa dokonano w sposób wskazujący na działanie fachowca od mokrej roboty. Prowadzone działania nie doprowadziły wtedy do ustalenia motywu i sprawców mimo, że podjęli bardzo szeroko zakrojone działania, realizowane przez kilkunastoosobową grupę operacyjną, pod jego bezpośrednim kierownictwem.

- Tak, dzwonił do mnie dziś rano i nakazał złożenie sprawy do archiwum.

- A co mu tak nagle się zaczęło spieszyć? - zapytał lekko zdziwiony Walewski, który mimo, że zajęty był obserwowaniem osób na sali, to jednak, wbrew pozorom, uważnie przysłuchiwał się prowadzonej rozmowie.

- Trochę się z nim posprzeczałem – z niechęcią zaczął przypominać sobie poranną rozmowę z naczelnikiem wydziału - On twierdzi, że nie będzie świecił oczami przed komendantem wykazując wciąż tę sprawę jako nie wykrytą.

- No tak, jemu jak zwykle chodzi o statystykę – przytomnie zauważył Walewski – no, bo sprawa wisi jako nie wykryta i psuje mu obraz sukcesów wydziału.

- Dokładnie o to chodzi i to mu też powiedziałem, ale nie chciał słuchać. Powiedział, że to polecenie szefa i należy to zamknąć, bo to wstyd przed komendą główną, że przez pięć lat prowadzenia rozpracowania, nie udało się wykryć sprawców.

- A co on pieprzy – odezwał się gwałtownie Rylecki - komenda stołeczna i całe CBS sprawę Papaly prowadzi dokładnie tyle samo lat, co my i nikt jakoś tego nie ma ochoty zamykać. Tam nawet śledztwo ciągle przedłużają.

- I to też mu powiedziałem. Powiedziałem, że przecież wydział nie ponosi żadnych nakładów i że sprawę ciągnę praktycznie sam. Nawet to, że jesteśmy już, zdaje się blisko sprawców nie przekonał go. Kazał zamknąć i kropka.

- No tak, studenci to nie generał, a my to nie komenda stołeczna – smętnie skwitował temat Rylecki.

- A na rychłe zakończenie sprawy Papaly też się nie zanosi – włączył się Walewski, który podczas całej tej rozmowy wodził oczami po sali i zdawało się, że prowadzona rozmowa jakby wcale go nie interesowała.

- Ale naszą nie możemy teraz przecież zakończyć. Wiecie sami, że już jesteśmy blisko, ale ten wał i tak na swoim będzie chciał postawić - Drożdż nie miał wąt-

pliwości, że jego argumentacja rozbijać się będzie o mur niekompetencji i arogancji szefa. W jego ocenie, którą starał się zainteresować przełożonych, szanse na ustalenie sprawców tego zabójstwa gwałtownie wzrosły, po realizacji ostatnich zaplanowanych przez niego działań. Wiązało się to z uzyskanymi informacjami dotyczącymi działalności i obecności w rejonie Parku Narodowego neofaszystowskiej grupy survivalowej o nazwie „Wilkołak” wywodzącej się z terenów północnej Polski. Jednakże upór Meryla zdaje się być nie do pokonania i musiał się liczyć, że przegra mimo, że jego argumenty miały mocną merytoryczną podstawę. Wiedział jednak, że tej instytucji liczyło się zawsze zdanie tego, kto miał władzę. Zdanie szeregowego pracownika liczyło się tylko wtedy, gdy miał on tak zwane bezpośrednie dojście do wyższego przełożonego, którego był w stanie odpowiednio nastawić i przekonać. Postanowił w duchu, że użyje wszystkich możliwych kontaktów w komendzie głównej, aby nie dopuścić do realizacji pomysłu Meryla. Na szczęście pracowała tam jeszcze kilku lebskich facetów, których znał z dawniejszych czasów i co najważniejsze, nie byli to – tak jak on obecnie – jacyś szeregowi funkcjonariusze tej jednostki.

- Szkoda, że Maniek odszedł – westchnął szczerze.

- No właśnie – wszedł mu w słowo Rylecki – odszedł nie odszedł, ale wejścia silne ma. Trzeba go uruchomić, niech pogada z kim trzeba.

- Racja – przyznał zdziwiony, że sam wcześniej o Mańku nie pomyślał.

- Panowie, przestańcie o robocie, pogadajmy o czymś przyjemniejszym – przerwał im Walewski wskazując na dwie przystojne kobiety stojące przy barze.

- Ty, my je przecież znamy – ucieszył się Rylecki.

- No tak, to skończyła się praca, a zaczęła robota – Drożdż ze śmiechem podsumował nagle zainteresowanie kolegów, nawiązując do starego dowcipu, że do pracy spodnie się naciąga, a do roboty zdejmuje. Wielokrotnie, podczas takich klubowych nasiadówek żartowali, że policjanci w pracy rozmawiają o panienkach, a przy wódce, o pracy. I zawsze ktoś z biesiadującego towarzystwa, występował z apelem, aby wreszcie przestać gadać o pracy a zacząć o robocie. Niestety, zawsze po jakimś krótkim czasie rozmowa wracała to poprzedniego tematu, aż do kolejnego apelu o jego zmianę. Z reguły temat ten kończył się w momencie, gdy do towarzystwa dołączała osoba niezwiązana z policją i wówczas rozmowy dotyczące ich zawodowych problemów i spraw, kończyły się jak nożem uciął.

Tak też było i podczas tego spotkania. Kobiety, które Walewski wypatrzył przy barku pracowały jako pielęgniarki z pobliskiego szpitala przy ulicy Batorego. Poznali je przypadkowo kilka miesięcy wcześniej, podczas imprezy, jaką dla pracownic szpitala zorganizował, z okazji dnia 8 marca, ich związek zawodowy. Impreza odbyła się właśnie w tym klubie, a udział brały praktycznie same kobiety w towarzystwie trzech lub czterech mężczyzn, którzy bardzo szybko wprowadzili się w stan sporego upojenia. Mocno pijani mężczyźni stali się dla rozbawionych i rozochoconych alkoholem kobiet elementem nieprzydatnym, przez co siedzący przy sąsiadującym stoliku czterej sympatycznie wyglądający faceci, szybko okazali się celem zmasowanego ataku i do zawarcia znajomości doszło w błyskawicznym tempie.

Po nawiązaniu kontaktu wzrokowego Walewski machnął ręką, sygnalizując kobietom chęć zaproszenia ich do stolika, na co zareagowały błyskawicznie i już po kilkunastu sekundach witały się z nimi nadzwyczaj wylewnie, jakby manifestując w ten sposób swoją z nimi zażyłość i chęć do podporządkowania się ich woli.

- Co tam dziewczyny, co słyhać nowego? – Walewski w pierwszej chwili nie potrafił się zdobyć na nic innego poza zdawkowym i nic nieznaczącym zwrotem.

- Tyle nowego, co starego – rezolutnie tym samym zrewanżowała mu się z lekka, korpulentna blondynka o imieniu Asia.

- A, tak wpadłyśmy na chwilę, zobaczyć czy coś się tu dzieje - wysoka i postawna brunetka, znana w lokalu pod przezwiskiem Ola, przyglądała się im z uwagą, jakby chciała ocenić ich aktualne możliwości towarzyskie.

- A dzieje się, dzieje – Rylecki roześmiał się rubaszenie i porozumiewawczo mrugnął powieką – My jesteśmy. A to już wiele, no nie?

- No, to faktycznie bardzo dużo tu się działo, ale teraz będzie dziać się jeszcze więcej, no bo teraz to i my jesteśmy – Ola filuternie puściła oczko w kierunku Drożdża.

- A gdzie jest ten wasz kolega. Ten co wtedy był z wami, ale zapomniałam jak miał na imię. - zapytała się Aśka.

- Na urlopie, ale niedługo wraca. A co, stęskniłaś się – zapytał trochę złośliwie Walewski – dając wyraźnie do zrozumienia, iż pamięta, że wówczas dziewczyna szczególnie zainteresowana była osobą ich kolegi z grupy .

- Zaraz tam, stęskniłaś się. Tak tylko pytam – odcięła się, ale można wyczuć było, że jednak prawdy nie mówi.

- Nie wiem, czy załapałem, ale czy mamy, to co powiedziałaś przed chwilą, rozumieć jak jakąś konkretną propozycję? – śmiejąc się Drożdż powrócił do wyrażenie filuternej wypowiedzi Olki i mrugając do niej porozumiewawczo, przyciągając jednocześnie od sąsiedniego stolika dwa krzeselka i zapraszając je gestem do zajęcia miejsca przy ich stole.

Po chwili siedzieli w piątkę i rozmawiając o banalnych wydarzeniach dnia codziennego popijali zamówione drinki. Po upływie kilkunastu minut, gdy już wszyscy zdążyli całkowicie oswoić się ze swoją obecnością, dziewczyny zaczęły rozważać, gdzie by ewentualnie zakończyć tak dobrze rozpoczęty wieczór. Aśka od razu zaproponowała, aby udać się do jakiegoś lokalu z tańcami w Szczawnie, bo ma ochotę na wyszumienie się na parkiecie. Zwolennikiem takiego rozwiązania, wbrew stanowisku Drożdża i Ryleckiego, był Walewski, który widocznie miał już jakieś swoje plany związane z obecnością dziewczyn, a do spełnienia których potrzebny mu był właśnie lokal z tańcami.

- Nie ma po co gdziekolwiek jechać, bo w Szczawnie zaraz wszystkie lokale zostaną pozamykane – stanowczo stwierdził Drożdż, spoglądając na zegarek, który wskazywał, że dochodzi godzina 22.00.

- Wiecie przecież, że tam graja dla kuracjuszy, a oni o dwudziestej drugiej muszą już być w łódeczkach.

- Zyga ma rację – poparł go Rylecki – po cholere mamy się gdzieś przenosić. Źle tu nam – wskazał ręką na półki zapelnione butelkami z alkoholem i stojącego za barem Zbyszka.

- No to sobie z godzinkę chociaż potańczymy, bo jak wiem, to zawsze jeszcze dla miejscowych z godzinę grają. – naciskała z lekka Asia.

- Aśka, daj spokój. Jutro mamy na rano – Ola mitygowała, rozochoczoną perspektywą tańców, koleżankę.

- No to co, że na rano. Upijać się nie muszę i nie mam zamiaru – broniła swojej propozycji kobieta.

- Jak chcecie to sobie jedźcie, my, no ja – poprawił się Drożdż – pozostaję na miejscu.

- No to nie ma o czym gadać. Nigdzie nie jedziemy i imprezę tu kończynowy. Ok? – Drożdż zakończył dyskusję retorycznym pytaniem, ponieważ nie miał faktycznie ochoty na jakiegokolwiek balety, mając w perspektywie jutrzejszą wizytę w prokuraturze.

- Zresztą, co będziemy się tłuc taryfami po mieście, kiedy zaraz wszyscy pójda spać i lokale, poza hotelami, pozamykają – Rylecki mówiąc to przeciągnął się zakładając ręce za głowę i wymownie spoglądając na Olkę, która udawała wyrażnie, że nie rozumiała, co intonacją głosu i przeciągłym spojrzeniem, chciał jej zasygnalizować.

- Tiaaa – teraz z kolei w podobny sposób przeciągnął się Walewski i spoglądając na Aśkę wyrecytował jednym tchem - tu po dwudziestej trzeciej zasypia nawet bruk na stricie, umiera każda z dróg, a w klubach życie, jak lód się topi.

- Bogdan, co ty na Boga poezją nagle rzucasz – Drożdż był zdziwiony tą niespodziewaną poetycką frazą kolegi, który nigdy dotąd takim zdolnościami się nie zdradzał. Również Rylecki spoglądał na niego ze zdumieniem, bo i on nigdy nie słyszał, aby Walewski cytował jakieś poetyckie kawałki, a zdanie wypowiedziane przed chwilą wyraźnie wskazywało na to, że może to być fragment jakiejś większej wierszowanej całości.

- A, gdzieś to usłyszałem, czy przeczytałem i tak, jakoś utkwilo mi we łbie – Walewski wydawał się jakby trochę zażenowany tym swoim, niespodziewanie okazanym, poetyckim uniesieniem.

- Fajne to jest, bo ty faktycznie ulice zamierają już pod wieczór i w tym mieście nic, poza spaniem, nie pozostaje do roboty – smętnie skonstatował Drożdż.

- No, zamiast spać, można robić coś jeszcze innego, prawda Ola? – Rylecki spojrział kobiecie głęboko w oczy i mrugnął porozumiewawczo, obserwując przy tym uważnie jej reakcję.

- O, tobie to tylko jedno na myśli – uśmiechnęła się do niego i zapytała:

- To co robimy? Jakie macie panowie propozycje?

- Ja tam, może wypiję jeszcze jedno piwko i spadam do domu – pierwszy po krótkiej chwili milczenia, odezwał się Drożdż.

- Jutro o 12.00 muszę być w okręgówce u Basiury, ma do mnie jakąś sprawę – dokończył i podniósł się z krzeselka.

Idę po piwo, coś wam kupić? – zapytał wskazując na puste naczynia stojące na stole.

- Oj, chłopaki, wymyślcie coś – Asia nie ustępowała tak łatwo i przymilnie spoglądała w oczy Wawelskiemu.

- Wiecie co, mam pomysł - Ola zdecydowanie zwróciła się do Ryleckiego- mój syn jest u babci, więc może wylądujemy u mnie. Kupimy coś po drodze i posiedzimy trochę, po co mamy tu w tej knajpie przeplacać?

- Kobieto, jesteś genialna – Rylecki chwycił jej dłoń i ceremonialnie cmoknął schylając nisko głowę.

- Jesteś nie tylko genialna, ale i czytasz w moich myślach – tym razem z komplemmentem pospieszył Walewski, ciesząc się w duchu, że prawdopodobnie jego zamysły zmieniają się w rzeczywistość. I to tak nikłym kosztem, bez specjalnego wysiłku.

W momencie, gdy Drożdż z pięcioma butelkami piwa pojawił się przy stoliku, wszystkie szczegóły zostały już uzgodnione i z miejsca mu przedstawiono plan eskapady. Założenie było takie, że jada do mieszkania Olki, po drodze kupią w sklepie nocnym butelkę dobrej wódki i wędzonego kurczaka. Pojadą jedną taksówką, bo przecież jakoś się upchną, a taksówkarz panom policjantom nie śmie odmówić, jak to sprytnie skwitowała Aśka.

- Niestety, jedźcie sami, ja nie mogę – Drożdż zdecydowanie odciął się od propozycji – Andrzej, wiesz dobrze, że to zawsze kończy się większym pijaństwem, a ja naprawdę jutro muszę być ok. Nie mogę się wygłupić przed prokuratorem, dobrze wiesz.

- Ale przecież nie musisz pić – nie ustępowała Olka – posiedzisz, pogadasz. Nie daj się prosić.

- Niestety, jednak muszę zdecydowanie i z przykrością odmówić. Bawcie się dobrze, a ja jutro rano jadę i nawet z tego względu już nawet kieliszka wypić nie mogę - opierał się zdecydowanie.

Pomimo kilku dalszych prób namówienia go do zmiany decyzji, podjętych zresztą jedynie przez towarzyszące im kobiety, Drożdż po wypiciu piwa pożegnał się z towarzystwem i wyszedł z lokalu.

- Przynajmniej nie będziemy musieli się prosić taryfiarza, bo w czwórkę zmieścimy się wszyscy – skwitowała jego wyjście Aśka.

- No, nie wiem – Rylecki odezwał się po dłuższym namyśle – Zyga ma rację. Jutro musimy być na pełnym gazie. A zresztą po kiego mi kłopoty w domu i tak mojej starej podpadłem, za te ciągle późne powroty.

- Daj spokój Andrzej. Przecież żona chyba już do tego przywykła – Aśka wyraźnie nie odpuszczała – a poza tym wcale nie musisz siedzieć do rana. Zresztą my też raniutko musimy do arbitru lecieć.

- Ola, nie gniewaj się. Jednak i ja was pożegnam – uśmiechnął się do dziewczyny, która z lekkim uśmiechem spoglądała mu w oczy.

- Ok, nie ma sprawy. Zresztą zakładałam, że z tej wielkiej chmury nawet nie pokropi. Jak to u was w zwyczaju. Dobrze pamiętam, jak się skończyło nasze poprzednie spotkanie.

- Ano, takie jest życie – skwitował Rylecki – a ty Bogdan rób co uważasz. Masz zresztą większe, jako kawaler z odzysku, możliwości niż my. Ja spadam, bo mi żona głowę ukręci, jak się zwałę do chaty przed północą.

- To ty jesteś wdowiec, czy rozwodnik? Nic nie mówileś wcześniej – Aśka nagle zaczęła spoglądać na Walewskiego jakimś zupełnie innym spojrzeniem.

- E tam, nie ma się czym chwalić. Zygmunt też jest stanu wolnego – widać było wyraźnie, że nie miał ochoty wyjawiać swego obecnego statusu cywilnego. Widać wyraźnie, że nie miał ochoty wyjawiać swego obecnego statusu cywilnego. Widocznie nie bardzo było mu to na rękę.

- No co ty. A mówił że jest ...

- Ma partnerkę – Rylecki zgasił wążek w zarodku.

- Strasznie jesteście obydwaj w tym temacie rozmowni, ale wsza sprawa. Mnie przecież to nie interesuje - głos dziewczyny również bardzo wyraźnie sugerował, że temat uznaje za wyczerpany.

- A ja uważam, że wszelkie imprezy z waszym udziałem okazują się imprezami do dupy. Ot co. Ja jadę do Olki, bo co się dziewczyny będą same po nocy przez miasto tarabanić - zdecydowanie podsumował wyminę zdań Walewski.

Jesteś cudowny – zapiszczała radośnie Aśka.

Rylecki spojrział na nie z rozbawieniem.

- Ale żeście się dziewczyny rozochociły – zaśmiał się głośno – ale powiem wam, że ze starszego pana korzyści mieć nie będziecie. No bo wiecie, żona, dom dzieci i takie inne jeszcze okoliczności, o których przy damach nie wypada mówić.

- O kim mówisz? Bo chyba nie o mnie – zaperzył się Walewski.

-Oj, oj, nie rób z siebie starszuszka, co to może tylko opowiadać, czego nie może, a bardzo by chciał - zachichotała Olka – bo myślę, że mówisz nie o tym, co mam na myśli.

- Myślę, że czas już na mnie. Bogdan może się wami zaopiekować, albo na odwrót, bo na niego czeka tylko pies, któremu zapewne od rana w żołądku buczy. A na mnie nie tylko żona, ale i teściowa czeka, a to jest już poważniejszy problem – Rylecki z całych sił starał się nie ulec kuszącej propozycji, w czym Walewski absolutnie go nie wspierał, tak jakby obawiał się nagłej decyzji kolegi o pozostaniu w towarzystwie tych dwóch mocno już rozochoconych kobiet.

- No to nie będziemy cię już kusić, bo widać, że faktycznie nie dasz się namówić, więc czasu szkoda – skwitowała jego coraz mniej stanowczy opór Aśka – zamykamy taryfę i jedziemy na Nowe Miasto, a ty idź do żony, tak jak ten wasz kolego, co to przed chwila dyla dał.

Z tonacji jej głosu wyraźnie przebijało jakieś bliżej niesprecyzowane niezadowolenie z decyzji kolegów Walewskiego, co było tym bardziej dziwne, że akurat to on wyraźnie wpadł jej w oko.

- Andrzej nie ma sprawy, zabieramy się stąd, bo szkoda czasu na rozważania – Walewski był wyraźnie zniecierpliwiony i dążył do jak najszybszego opuszczenia klubu wraz z dziewczynami, z czym wiązał wielkie nadzieje na nadchodzącą szalową, jak mniemał, noc.

- Ok, wychodzimy. Nic tu już po nas – zgodził się Rylecki i podszedł do barku, aby uregulować rachunek.

Kiedy wyszli na zewnątrz, wezwane wcześniej taksówki już oczekiwały, więc po krótkim pożegnaniu rozjechali się każdy w swoją stronę.

**Wszelkie prawa zastrzeżone.** Jakikolwiek sposób wykorzystania bez zgody autora całości lub fragmentów niniejszego tekstu, będzie traktowane jako naruszenie praw autorskich, ze wszystkimi tego konsekwencjami.